

TELEWIZJA

Maciej Karpiński

Teledziennicy programiści wiedzieli, co robią, kiedy zdecydowali, aby taśmencową adaptację „Sławy i chwały” nadawać w okresie pułkarskich mistrzostw świata. Jest nadzieja, że w tym czasie stosunkowo mała liczba widzów będzie zaprzętać sobie głowy poniedziałkowym teatrem telewizji i rzecz przemknie nie zauważona. Więc szkody wielkiej dla Iwaszkiewicza, dla telewizji i dla widzów nie będzie.

Jest to rachuba słuszną, ale tylko częściową. Zawsze może się znaleźć chroniczny kontestator, który w całym akcie protestu przeciwko Deynie i Szarmachowi włączy telewizor na Iwaszkiewicza i Lidę Zamkow, albo maniak, który nie może sobie zrobić dnia wolnego od telewizji nawet wtedy, gdy nie ma żadnego meczu, albo wreszcie ktoś taki, jak ja, który musi

PUZONY SŁAWY I CHWAŁY

Najpierw adaptacja: powieść zamieniła się dzięki niej w zbiór aforyzmów wątpliwej świeżości intelektualnej. Co kwestia, to złota myśl. Jest to klasyczny przykład robienia adaptacji przy na zasadzie ersatzu: wybiera się po prostu gotowe kwestie bohaterów powieści, nie troszcząc się o to, że słowo mówiane brzmi zupełnie inaczej, niż pisane. Dialog „Sławy i chwały” jest stylizowany — trzeba go dopiero przekłócić na język teatru, aby uniknąć sztuczności. Albo — ale na to są także nie zdecydowano — nadać nowo powstałemu dramatomu i potem przedstawieniu taką formę, by współgrając ze stylizacją dialogu — usprawiedliwiła ją i czyniła naturalną.

Nic z tego. Gra się to, co jest — i spokój. Ale jak się gra? To osobna sprawa. Jedna jedyna Aleksandra Słajka

rozpaczliwym wysiłkiem ratuje rolę księżny Bilińskiej. Wszyscy pozostali niezdolną sztucznością swego aktorstwa uwypuklają niedostatków adaptacji i bezradność reżyserii. Herdegen gra księżną Myszynską tak, jak się — chyba, bo ja tego nie pamiętam — grywała księżną w przedwojennych farzach. Przynajmniej tak to sobie wyobrażam.

Lecz zostawmy aktorów w spokoju. Nie ma co się nad nimi pastwić, wiedząc, że najgorszego aktora może reżyser uratować, a najlepszego — zgubić. A w telewizyjnej „Sławie i chwale” grają — przeważnie, nawet role drugoplanowe — dobrzy aktorzy.

A więc mówimy o reżyserii. O reżyserii, czy raczej o jej braku? Bo jeśli widzi się oświeconą bezradność aktora, który gra, to

mu do głowy przyjdzie — to czy można w ogóle mówić o reżyserii? A kiedy widzi się Słajka, wysierającą z każdej sceny — faktach zachowań ludzkich, intencjach, nawet najprostszej sytuacji — czy można jeszcze mówić o reżyserii? Może się ktoś wyłamać, dzieląc ludzkie, choćby iść, własną stają, kiedy chcą coś zrobić, poproszą? W telewizyjnej „Sławie i chwale” jest to normalne i nagłone. Długość zdania, który ze sobą rozmawiają, widać do siebie przyciąga? W „Sławie i chwale” jest to jedyna forma rozmowy. Długość, oficer, słysząc strzały na ekranie, pot godziwy marudzi, że wsiadł gdzieś tam chyba do Cytadeli, że to przecież majawcy, i nie rusz się z miejsca — to sytuacja ze „Sławy i chwały”, i to wyłącznie w sobie niby z reżyserią, wysławiając, i tłumacząc aktorów i starych bezgłównie charakterystyczna scena: błąd: wszyscy uczestniczą, parali, swoją wic w błędnie w coraz to nowych odświeżeniach. Wierze nie ma tu żadnej umiarkowości, żadnej stylizacji, która by coś harmonizowała — tak się po prostu, zdanien reżyser Zamkow, ludzie zachowują. A może tak się zachowywali w okresie ostatnio zwanym „Jedynym Wojnem”?

Osobną sprawą jest tempo tego widowiska. Można by sądzić, że aktorzy grają na starej dobrej zasadzie: „A cieplej — ja!”. Mianowicie każdy czeka, aż kolega skończy mówić swoją kwestię, odczeka chwile, jakby się upewniał, czy to już koniec, potem mówi to, co do niego należy. Ceremonia ta odbywa się nawet wówczas, gdy scena ma — czy też powinna mieć — jakieś emocjonalne napięcie, jakąś wewnętrzną dramaturgię — słowem to wszystko, co wymaga tempa; aktywności i płynności. Nic z tych rzeczy: „Sława i chwala” płynie sobie wolno, bez napięcia, usypiająco, dostojnie... W końcu to klasyka, niepewność?

Nie tak dawno było sporo szumu wokół przedstawienia „Wesela”, które wygotowała w telewizji reżyser Zamkow. Oburzano się, że dramat został przetransmitowany, strywalizowany, sprowadzony do pijanego bełkotu inteligentów. Mój Bóg, żeby też w „Sławie i chwale” było się na co oburzać? A tu się tylko ziewa i patrzy na zegarek, czy daleko do następnego meczu.